

Zapach skoszonej trawy

AUTOR: PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Dramat Jennifer Haley wystawiony przez Mariusza Grzegorzka pokazuje wielki kłopot z rozpoznaniem natury zła popełnianego w cyberprzestrzeni. To może być istotny temat dla teatru w nadchodzących latach.

■ „[...] tak długo jak poprzestaniemy tylko na uczuciach, nie ma wielkiej różnicy między najlepszym a najgorszym uczynkiem na świecie i że w rezultacie są takie same. Że chęć zabicia kogoś i miłosierdzie z pozoru niczym się nie różnią” – napisał Yukio Mishima w powieści *Złota pagoda*, mniej więcej dekadę po zakończeniu II wojny światowej. W podobnej frazie Jennifer Haley mogłaby zamknąć sens swojego współczesnego, napisanego pięć lat temu dramatu. „Tworzenie. Zniszczenie [...] to części jednej całości. Dajemy ci miejsce, w którym możesz zakwestionować wszystko, co świat wmówił ci na temat dobra i zła”.

Gdyby Mishima mógł tworzyć dla teatru dziś, w XXI wieku, zapewne na nowo zająłby się ambiwalencją zła. Nie penetrowałby granic, które człowiek jest w stanie przekroczyć, by popełnić zło przeciw bliźniemu, lecz zapytałby, jaki grzech odważamy się popełnić, kiedy nikt na nas nie patrzy.

Można powiedzieć, że zmieniły się jedynie okoliczności i kostium historii. Jeśli Mishima napisał na przykład *Madame de Sade*, sprawę osądu słynnego libertyna pozostawiając intrygująco otwartą, to dziś Haley proponuje dramat o pedofilii uprawianej w przestrzeni cyfrowo wyimaginowanej. I co z tym zrobicie? – zdaje się pytać autorka.

O tym właśnie opowiada *Otchłani*. I choć oczywiście amerykańska pisarka nie wytrzymuje porównania z Mishimą, jeśli chodzi o sam styl – japoński klasyk był estetą i poetą teatru,

Haley to sprawna obserwatorka – jej twórczość obraca się wokół podobnych pytań; można przyjąć, że to Mishima przystosowany do deklaratywnego języka naszych czasów. Autorka *Otchłani* stawia na tempo akcji, szybkie puenty, impulsywność. Bywa, że mówi zbyt wprost w chwilach, w których aż prosi się o rozwinięcie filozoficznego dialogu, ale przecież w takich sytuacjach to scena daje tekstowi drugą szansę, odśladania pokłady sensów. Mariusz Grzegorek w łódzkim Teatrze Jaracza w pełni wykorzystuje tę możliwość.

Gdzie właściwie jesteśmy? Na pewno w przyszłości, gdy wszyscy ludzie chodzą ubrani w praktyczne uniformy. Niewątpliwie obserwujemy też świat, w którym technologia nie stanowi narzędzia, z którego można skorzystać lub nie, lecz jest obowiązkowym atrybutem codzienności. Jest wręcz jak tlen – więc trudno ją kontrolować. W przedstawieniu tę wszechobecność rzeczywistości wirtualnej wydobywają na plan pierwszy wizualizacje wyświetlane na ekranach ustawionych wzdłuż niezbyt długiego proscenium sali kameralnej, na którym rozgrywa się cała historia. Grzegorek podobne efekty stosuje od wielu lat, widz bowiem ma zostać wciągnięty w przestrzeń zdarzeń za wszelką cenę. Ważne są rytm pokazywanych obrazów, barwy światła, no i w końcu muzyka: transowa, wyraźna, beatowa – choć akurat tym razem mam do reżysera pretensje, bo zdarza się, że dźwięki tylko potwierdzają charakter działania postaci. W *Otchłani* dało-

by się tego uniknąć. Zwłaszcza gdy tempo spektaklu wyznaczają sekwencje spotkań w pokoju przesłuchań. Buzujące emocje, ostry konflikt, naturalistyczne detale – one wystarczą. Nie chcę powiedzieć, że to błąd zasadniczy, bo odbieram go jako kwestię miary i uleganie przyzwyczajeniom z wcześniejszych realizacji. Mariusz Grzegorek lubi pojawiać się na afiszu w kilku rolach, przeważnie również jako scenograf i autor koncepcji przestrzeni.

Wspomniałem o przesłuchaniu wyznaczającym strukturę tej opowieści. Przede wszystkim jednak w tym pojęciu zawiera się inne, ważniejsze. Chodzi o oskarżenie, więc i o stosunek do prawdy oraz pytanie, czym ona jest, albo dokładniej mówiąc: czym się wydaje każdemu z osobna w tym dramacie. Już w pierwszej scenie, kiedy naprzeciw siebie zasiadają podejrzany o pedofilię Sims (Andrzej Wichrowski) i detektyw Morris (Agnieszka Skrzypczak), objawia się kłopot z definicją. Sims stworzył coś w rodzaju nowego poziomu cyfrowej rzeczywistości (którą nazywa „Zaciszem”) jako alternatywę wobec zwykłego Internetu (który dość ironicznie określa się tu tytułową „Otchłanią”). Morris z kolei zarzuca mu, że jego program jest jednocześnie doskonały i destrukcyjny, ponieważ pozwala na doświadczenia angażujące wszystkie zmysły. Konkuruje więc ze światem realnym, a nie z samą siecią jako wytworem ułomnym, lecz poprzez wypracowane zasady postępowania dającym się kontrolować, zatem bezpieczniejszym. Sims

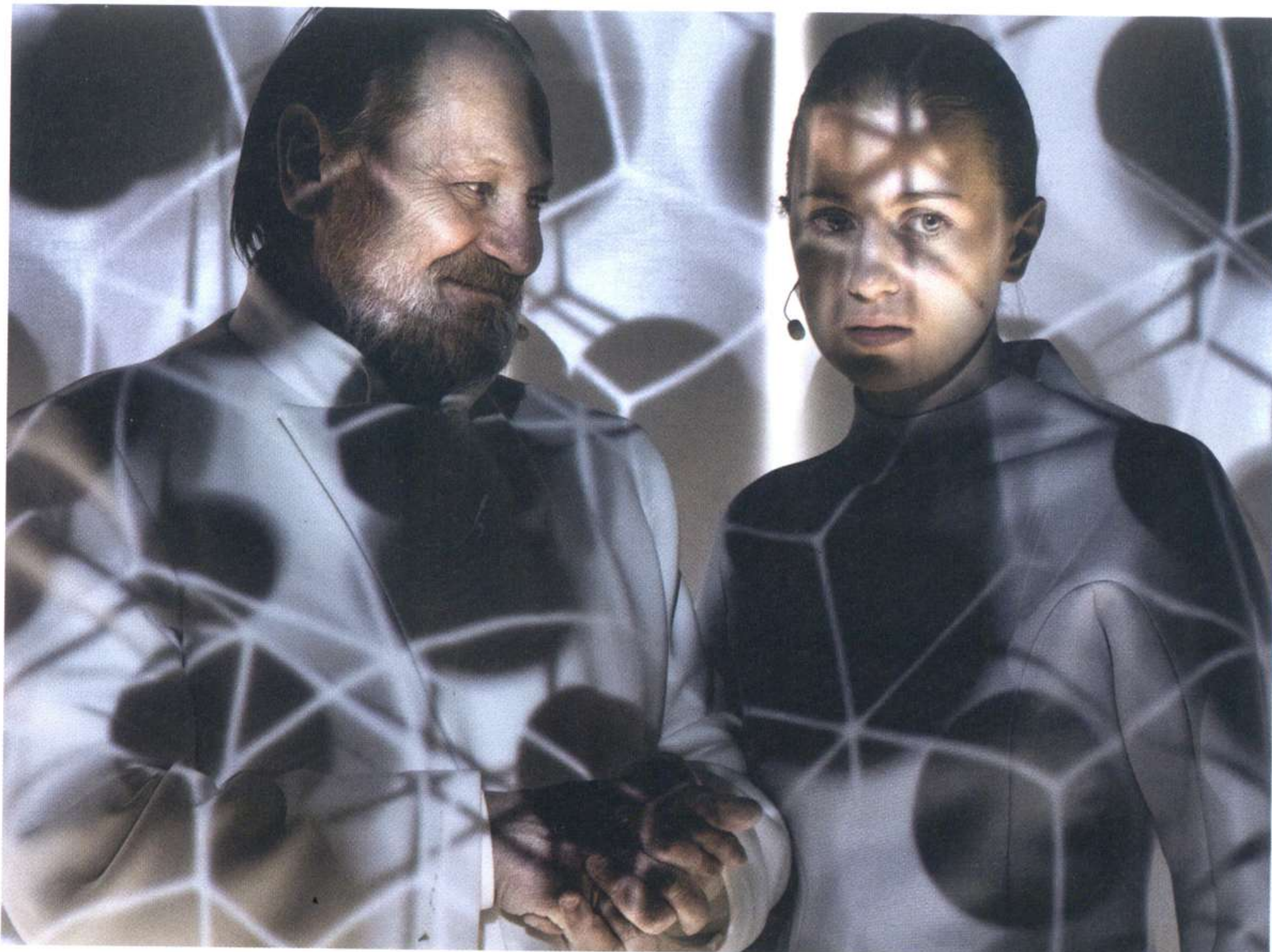
TEATR IM. STEFANA
JARACZA W ŁODZI

Otchłań
Jennifer Haley

tłumaczenie
Jacek Kaduczak
reżyseria, scenografia,
światło, opracowanie
muzyczne
Mariusz Grzegorzek
współpraca
scenograficzna
Katarzyna Zblowska
kostiumy
Magdalena Moskwa
muzyka **DJ Alex**

prapremiera
6 kwietnia 2018

Agnieszka Skrzypczak
[Morris],
Andrzej Wichrowski
[Sims]



fot. Mariusz Grzegorzek

zaś utrzymuje, że zarówno prawdziwe życie, jak i Internet nie mogą już sprostać potrzebom człowieka, który pragnie prawdziwych uczuć, z wszystkimi tego konsekwencjami. To rzecz jasna prowokacja.

Bo tak naprawdę do „Zacisza” uciekają ci, którzy chcą bezkarnie uprawiać pedofilię, kreując obrazy, o których wcześniej mogli pomarzyć w najśmielszych snach, i odgrywając dowolne role: ofiar albo sprawców. „Zacisze” stanowi ułudę, jakże ciekawą: tylko tu dostaje się ofertę ucieczki do minionych epok, z dawnymi strojami i komnatami urządzonymi z barokowym przepychem. Dokładnie wbrew nowoczesności. A jednocześnie ofertę powrotu do dzieciństwa z jego prawem spontanicznego postrzegania rzeczy, z jego powolnie płynącym czasem i zapachem świeżo skoszonej trawy za oknem rodzinnego domu. Bohaterowie Haley zwą to wszystko „retro” i mieści się w tym zarówno ich tęsknota za dzieciństwem, jak i usprawiedliwienie prymitywnych instynktów.

Sims broni tezy, że nawet najgorsze zło można okiełznać, znajdując dla niego ujście w sferze udostępnianej tylko uświadomionym i wtajemniczonym. I najciekawsze jest to, że Morris Simsowi zaprzecza, szantażuje go, grożąc skompromitowaniem, sama jednak nie wierzy w to, co mówi. Prawda w jej rozumieniu także zaczyna błędnać, pojęcia stają się względne i, jak

sama ostatecznie stwierdzi, „wszystko zależy od kontekstu”. Andrzej Wichrowski gra swą postać „powyżej” tekstu Haley. W sztuce Sims wydaje się cynikiem i manipulatorem, który wykorzystuje intelektualną przewagę nad innymi po to, by porządkować świat według własnego planu. Intryguje, lecz tylko jako demiurg. U Grzegorzka zaś rozumie i szanuje przeciwnika, nie tyle stawia się ponad regułami, ile stara się przeciągnąć na swoją stronę wątpiących w jego ideę. To dobry opiekun nie tylko wobec gości pragnących uciech w „Zaciszu”. Sims Wichrowskiego zachowuje się niczym jakiś nowy Sokrates, który dopiero teraz – u progu katastrofy ludzkości, która już nie odróżnia realu od cyberprzestrzeni – posiada pełną wiedzę o człowieku. Można go nazwać czułym sofistą, ba, można go nazwać wizjonerem. Problem w tym, że niełatwo ocenić go jednoznacznie.

Postać Agnieszki Skrzypczak jest zaś dla postaci Wichrowskiego uległą partnerką, bo daje w sobie rozbudzić wszelkie wątpliwości. Zresztą dzięki swej intrydze Morris staje się też naocznym świadkiem codzienności w „Zaciszu”, dla której tak istotne są postaci Iris (znanomita, skrajnie przerysowana rola Pauliny Walendziak grającej wykorzystywaną dziewczynkę: lolkę z rudymi lokami) i Woodnuta, gościa „Zacisza”, trawionego wyrzutami sumienia (znakomity, skupiony Marek Nędza).

Z kolei nauczyciel fizyki Doyle (Krzysztof Zawadzki) zafascynowany dziełem Simsa przechodzi na drugą stronę, ale jednocześnie staje się ofiarą. Wyrwany przez Morris z „Zacisza”, płaci najwyższą cenę. Przez upokarzanie samego siebie szukał prawdziwych więzi, które mogłyby uczynić ludzi istotami wyłącznie duchowymi. W Doyle’u skrywa się jeszcze jeden wymiar tego dramatu: chorobliwe poszukiwanie miłości. Zawadzki gra kogoś tajemniczego, wycofanego. Zabrakło jednak w jego roli jakiegoś rozwinięcia, nie dostał szansy na zmianę, a ta u Doyle’a zachodzi, gdy przekonuje się, że pomimo wyjątkowej inteligencji dał się zwieść. Ale może to wynik tego, że Mariusz Grzegorzek zastosował w tekście nie do końca trafne skróty.

Dramat ten drażni prawie w każdym zdaniu, podaje w wątpliwość myślowe schematy. O jego podstawowej strukturze decyduje gatunkowość współczesnego popularnego kryminału, między wierszami jednak Jennifer Haley zadaje pytania znane z najdonioślejszych dzieł science fiction, spod znaku Philipa K. Dicka czy Stanisława Lema – o poszukiwanie panaceum na ból ludzkości, o wynajdywanie rozwiązań ratunkowych, często trudnych do zaakceptowania w pierwszym odruchu. W przypadku Haley to pytanie, czy dla dobra całego społeczeństwa da się skanalizować ohydę perwersji. Niechby dotyczyła tylko tych, którzy jej potrzebują. ■